

O RÓŻNOŚCIACH

CZEŚĆ 21

Sodoma i Gomora to biblijne miasta. Niegdyś niewielkie miasteczka. Wiadomo, jak je Bóg potraktował. Później chyba popełnił błąd. Zamiast burzyć kolejne gniazda rozpusty, odpuścił sobie, umożliwiając tym samym rozlanie się rozwiązości oraz wszelakiej niegodziwości na cały świat. Kiedyś był mały (nie Bóg tylko świat), a teraz stał się wielki, lecz moralnie zepsuty do cna, z czego ludzie jeszcze nie do końca zdają sobie sprawę. Czyżby Bóg poprzez zaniechanie bardziej skutecznych działań w kwestii złych popędów ludzkich miał w tym udział?

Po incydencie z myszką (wieczorem 3 sierpnia 2025 roku) i przyniesieniu następnej w końcu września (zagnieżdżyła się u mnie w kuchni na dobre) poprosiłem Igę na rozmowę. Przyszła, usadowiła się na skraju wersalki i zaczęliśmy:

- Dlaczego przynosisz myszki i ptaszki do domu?
- Nie marudź, nie musisz się za nimi uganiać. I tak byś ich nie złapał.
- Nie wymądrzaj się. Ty chcesz żyć. Myszki i ptaszki też mają do tego prawo.
- Może i mają, ale coś muszę jeść. Jak byłam na wolności i miałam dzieci, musiałam je jakoś wykarmić.
- Przecież dostajesz mięsko w saszetkach, puszkach oraz schabik. Wylizujesz sosik, a resztę zostawiasz. Masz też suchy pokarm, który chętnie wcinasz. Dogadzam ci, jak tylko mogę.
- Mięso z saszetek i puszek mi nie smakuje, przewitaminizowane, a mięsa w nim prawie nie ma. Schab czasami da się zjeść, a czasami nie. Czujemy razem z Witkiem, że nafaszerowano go jakimiś świństwami. Suchy pokarm, owszem, ale za dużo „pachnie”. Muszę te konserwowe paskudztwa czymś uzupełniać. Myszki się doskonale nadają. Jak się przekonałam, na dworze wszyscy pożerają wszystkich – i ludziom nic do tego. Sami też sobie nie odmawiają, więc czemu się czepiasz kotów?
- Nie bałamuć mnie. Witek też jest kotem, a żadnych myszek oraz ptaszków nie łapie ani nie przynosi do domu.
- Witek to Witek, a ja to ja. Witek jest gruby. Waży dwa razy więcej niż ja, a na dodatek prawie nie ma zębów. Poza tym jestem od niego znacznie młodsza, mam dobre uzębienie i lubię ganiać oraz polować.
- Jak lubisz polować to poluj, nie musisz jednak zaraz zabijać. Inne koty, którymi się opiekowałam tyle nie polowały, a jak przynosiły myszki do domu to były żywe.
- Inne to inne, ja również jestem inna. Też przynoszę żywe. Podrzuciłam ci już kilka razy, to je wypuszczałeś.
- No dobrze. Jednak najczęściej, gdy już złapiesz, to je mordujesz, a czasami zjadasz. Raz przynosisz żywe, jak dzisiaj, raz nieżywe, raz z odgryzioną głową, raz tylko wnętrzności, raz zostawiasz na środku pokoju, raz w kartonie na balkonie, a raz na kafelkach. Jedne myszki są duże, inne to maleństwa. Nie oszczędzasz żadnych. Byle zagryźć. Morderczyni. Już ci to wiele razy mówiłem. Nic sobie z tego nie robisz. Ptaszek, myszka, ptaszek, myszka, to raczej monotonne jedzenie.
- Bzdury gadasz. Jak mówisz, że to takie monotonne, to sam spróbuj. Zobaczysz, że tak nie jest. Urozmaicisz swoją dietę, która jest przecież bardzo uboga. Same tłuszcze.

– Ptaszków niekiedy nie zjadasz. Uśmiercasz i podzucasz. Więc jeśli nie jesz, to po co to robisz?

– Denerwują mnie. Fruwają albo skaczą po ziemi. Nie mogę na nie patrzeć.

– To nie patrz. Niech sobie fruwią.

– Wszystko co fruwa, lata, unosi się w powietrzu i łązi po ziemi, wywołuje we mnie odruch łapania. Może mamy to w genach. Mam taką naturę i jest mi z tym dobrze.

– Może tak, ale ty masz te geny wyjątkowe pod tym względem. Poza tym nie tłumacz się genami. Jeśli już jesteś taka uprzejma, podzucając ptaszki, to przynajmniej oszczędź mi widoku tych nieszczęsnych stworzeń. Zostaw je na dworze i ich nie przynoś. Inne koty tak się nie zachowywały, a jeśli już im się przydarzyło, to bardzo rzadko. Nie musisz się ze mną dzielić myszkami i ptaszkami zostawiając je na podłodze na środku pokoju. Bywa, że zostają po nich tylko pióra. Muszę je sprzątać, wynosić i pochować. Nie możesz się czym innym pochwalić?

– Czym? Jak ci to wytłumaczyć? I tak nie zrozumiesz. Coś mnie korci i muszę tak postępować. Widocznie drzemie w nas instykt myśliwych. U ludzi też są tacy z krwiożerczymi popędami. Bez polowania i zabijania żyć nie mogą.

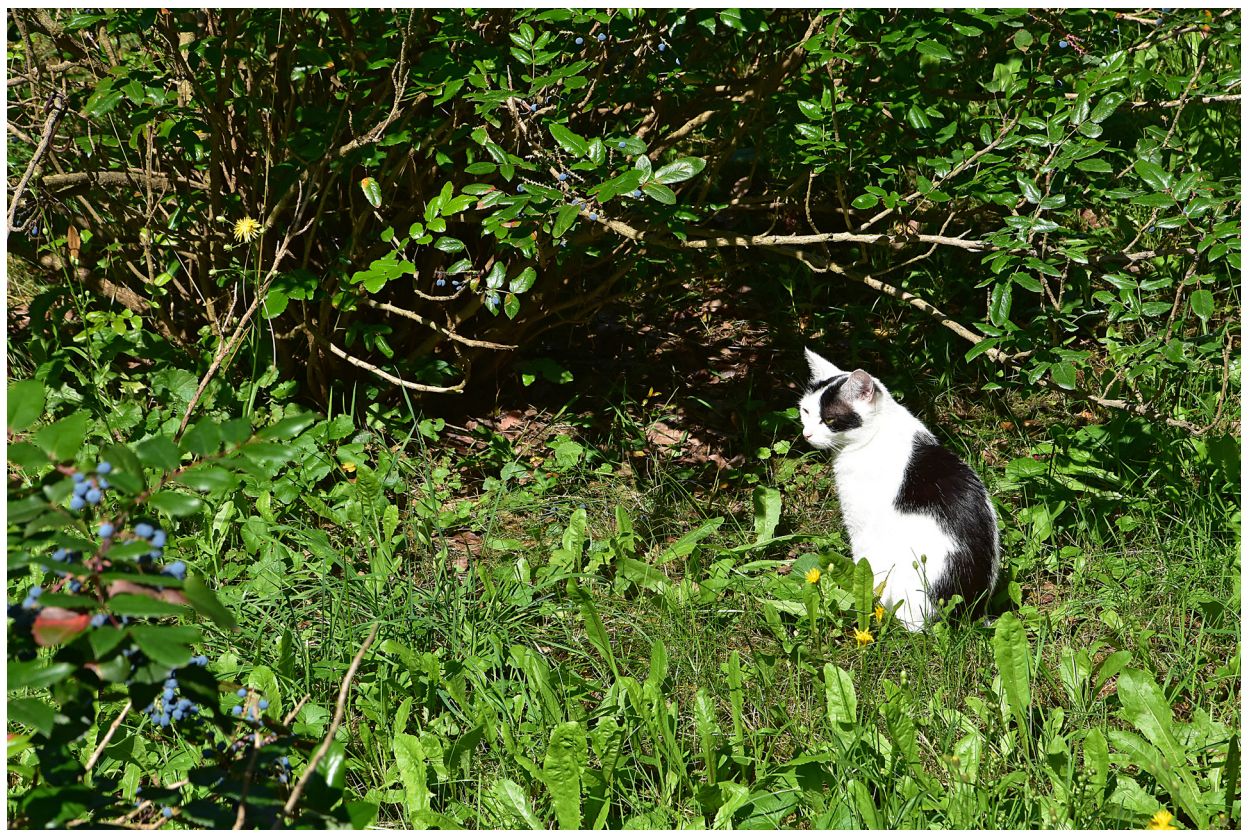
– To już nie wiem, za kogo ty się uważasz. Jesteś myśliwą? Kiedyś jeden z bezdomnych, jak mu coś mówiłem o Psotce (kotce z kanału ciepłowniczego), powiedział: „Panie, przecież to tylko zwierzę”.

– To ja ci odpowiadam: a ty co, nie zwierzę?

– No to ja ci też odpowiadam: większość ludzi święcie wierzy w to, że zwierzę to zwierzę, a człowiek to człowiek.

– Wy sobie możecie mówić co chcecie, zwierzaki i tak wiedzą swoje. Jesteście tacy sami jak my pod wieloma względami, a najczęściej zachowujecie się gorzej.

W tym momencie poczułem swąd z kuchni. Kolejny przepalony kubek. Zakląłem i rozmowa się skończyła.



Iga poluje

Gdy włączam Wiadomości Google, już od dłuższego czasu „rzuca się w oczy” Zbigniew Ziobro. Żeby tylko mnie. Milionom internautów. Ziobro nie może się obyć bez Google, a Google bez Ziobry. Ominąć ich nie można, tak się do siebie „przykleili”. Co tu robić? Klikam i Ziobro, przechodzę na inne strony, znowu Ziobro. Do Donalda Trumpa, Władimira Putina, Wołodymyra Zeleńskiego i kilku innych postaci przywykłem. Do Ziobry nie mogę. Jedyne rozsądne wyjście jest takie, żeby obie strony konfliktu (Platforma Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość) dały sobie spokój w mediach i załatwiały porachunki w zaciszu sal sądowych. Taki maraton polityczny nikomu nie służy. A może się mylę?

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku odbiór muzyki zrewolucjonizował nowy format zapisów dźwiękowych (MP3). U mnie zaczął się na początku XXI wieku, raczej pod koniec jego pierwszej dekady. Zacząłem kopiować interesującą mnie muzykę z różnych nośników (m.in. z płyt analogowych). Oczywiście wyłącznie na własny użytek. Ten format to znacznie lepsza jakość dźwięku. Nazbierało się ich do tej pory mnóstwo. Posegregowałem wszystkie według swojego upodobania na różne rodzaje muzyki: klasyczną, jazzową, i popularną, w której wydzieliłem tzw. muzykę świata, zaliczając do niej m.in. folkową itp. Już od kilkunastu lat nie przybyło mi żadnych nagrań. Mam tyle taśm szpulowych, kaset magnetofonowych, CD, płyt analogowych i nagrań w wersji cyfrowej, że mi wystarczy. Jak coś nowego, ciekawego usłyszę, np. w radiu, szukam tego na YouTube. Odtwarzam muzykę ze wszystkich urządzeń, najczęściej podczas pracy przy komputerze, przygotowując zdjęcia i rozmaite teksty do publikacji zarówno na stronę internetową, a także do druku. Nie zakładam słuchawek, ponieważ dźwięk z głośników rozchodzący się po pokoju bardziej mi odpowiada. MP3 pozwoliły mi dotrzeć do nagrań, których nigdy wcześniej nie słyszałem.

Po co pisać o wszystkim, jeśli już wszystko zostało napisane? Po co gadać o wszystkim, jeśli już wszystko zostało powiedziane? Do niedawna wszystko było naturalne, ale nadchodzą czasy, w których wszystko stanie się sztuczne. Jeśli tak, to ja to wszystko mam gdzieś.

Czy świat się zmieniał? Nawet AI odpowiada, że świat się zmieniał. A gdy zapytałem ją, czy cały świat się zmieniał, to odpowiedziała tak samo. Sztuczna inteligencjo, jesteś niestety w błędzie. Nie cały. Gdyby go ograniczyć do rodzaju ludzkiego, który – jak twierdzisz – odgrywa na nim kluczową rolę, to na pewno się nie zmieniał. Gdybyś czytała choćby Biblię, też tak byś nie uważała. Po jej zaledwie częściowej lekturze mogę jednoznacznie skonstatować, że w tamtych, dawno już minionych, czasach ludzie byli tacy sami, prawie identyczni jak my. Często tak podobni, jakbyśmy byli ich klonami.. Byli tacy sami, teraz też są tacy sami i jestem przekonany, że takimi do końca pozostaną. Piszę: „do końca”, bo ten w końcu nadejdzie, choć ludzie postępują tak, jakby to miało się nie wydarzyć. Gdybym wymienił ich cechy, dobre i złe razem wzięte (szczegółowiej natrudziłem się w poprzednich częściach), okazałoby się, że pominąć mógłbym najwyżej Ewę i Adama. Jednak i oni świętymi nie byli, bo co przeskrobali, nazbierali (a było tego sporo, z jabłkiem na wierzchu), przekazali w całości swemu potomstwu, a ci kolejnym pokoleniom i w ten sposób wszystko się do nas „dokulało”. Już sobie niektórzy myślą: aleś ty głupol, bredzisz itp. A ja im spokojnie odpowiadam: nie macie racji. Co najwyżej dodaję: macie swoją rację, a ja mam swoją, o czym jestem święcie przekonany.

Za zawetowanie na początku listopada 2025 roku ustawy o utworzeniu Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry prezydent Karol Nawrocki ma u mnie potężną krechę. Wskazywanie na „obawy związane z potencjalnym zablokowaniem rozwoju gospodarczego regionu” to głupawa wymówka. Po prostu wstyd, aby głowa państwa (tu okazała się akurat nią nie być) w ten sposób przyczyniała się zamiast do ochrony dziedzictwa przyrodniczego – do jego niszczenia. To krótkowzroczność. Zwracam uwagę na słowo „potencjalne”, które jest nadużywane w wielu

podobnych sytuacjach, zwłaszcza w polityce, żeby uzasadnić swoje racje. Ratując przyrodę, ratujemy – już nie hipotetycznie, przypuszczalnie, ale realnie – również siebie.

Jest początek lutego 2026 roku. Trochę zimnawo, więc zaglądam do kilku witryn internetowych, aby dowiedzieć się, jaka będzie dzisiaj pogoda. Klik, klik i pojawiają się temperatury tak różniste, że nie wiem, na którą się zdecydować. Do wyboru, do koloru. Co mi tam temperatura. Ważniejszy jest smog. Temperaturę wytrzymam, bo dobrze się „zapakuję” i OK. Ze smogiem może być gorzej. Klik, klik. W oczach mi się kręci. Katowice na jednych mapach czerwone, miejscami przechodzące w bordowe, na innych żółte, jaśnieją i ciemnieją, a na jeszcze innych takiej palety zielonych odcieni w życiu nie widziałem. I nie wiem co robić. Czy „wyjść” na czerwono, żółto, czy na zielono. A może z maseczką, a może bez. To, co dzisiaj się proponuje, rozbraja nie tylko mnie. Wybór ogromny. Aż mnie głowa rozboleła, mimo że jeszcze nie wyszedłem z domu. W socjalizmie było inaczej. Wtedy wszystko było szare. Żadnej alternatywy, ale też mnie z tego powodu głowa nie bolała. I jak te ustroje porównać, ocenić. Czy lepszy jest ten, w którym od różnorodności i nadmiaru głowa boli, przechodząc często w migrenę, czy ten, w którym głowa z wymienionych powodów nie dokuczała permanentnie, a jedynie okresowo, np. z powodu uciążliwych braków rynkowych?

Wzorem milionów, a może nawet miliardów ludzi ciekaw jestem różnych spraw. Dawniej dzieci i młodzież pytały o nie przede wszystkim rodziców, którzy byli pod ręką. Dziś rodzice jakby zostali odsunięci na bok – no to co im pozostało? I one, i ja, może ciut bardziej w niektórych zagadnieniach rozeznany (niekiedy mam co do tego poważne wątpliwości, bo oni przecież wiedzą lepiej), jednak ciągle niepewny, zamęczamy Google prawie codziennie, ile tylko można. Sztuczna inteligencja opanowała już niemal wszystko i ona pierwsza odpowiada. Czasami jakby sama, a czasami przekierowując internautów na odpowiednie strony. Zauważyłem, że często jakby ucieka od zdecydowanej odpowiedzi zaznaczając na początku, że na przykład trudno jest jednoznacznie stwierdzić. I tu niektórzy mają do niej pretensje. Młodzi chcieliby od razu znać konkretną, jednoznaczną odpowiedź. Mnie natomiast takie reakcje nie zaskakują, akceptuję je, bo świat jest tak skomplikowany, zawiły, poplątany, że i ona tu nie daje rady, ale się do tego nie przyznaje, tłumacząc się dyplomatycznie. Według mnie nie powinna tak lawirować, lecz mieć swoje zdanie.

Zaniedbywałem dotychczas język polski więc nadrabiam. W ostatnim ćwierćwieczu wiele swoich zwyczajów wcisnęli nam Amerykanie, np. Halloween (to akurat niby wepchnęli Amerykanom Irlandczycy, ale tam się zakorzeniło na dobre i rozlało po całym świecie). Albo Black Friday (to już jest przez nich wymyślone). Ich charakterystyczną, chyba wrodzoną, cechą jest upychanie różnego byle czego wśród innych narodów. Od nich jednak nie chcą nic przejmować. Jeśli już cokolwiek dopuszczają, to tylko w skupiskach etnicznych. Chwalą się wszelakimi różnościami, to mogliby od nas coś zapożyczyć. U nas jest popularny śmigus-dyngus. Prezydent Donald Trump dałby przykład i w świąteczny Poniedziałek Wielkanocny, wstając rano z łóżka, pokropiłby swoją żonę Melanię jakimś pachnącym płynem. Nie musiałby przecież zaraz na nią kubła wody wylewać. W to mogliby się zabawić na dziedzińcu Białego Domu, gdzie jest dużo miejsca, a wiadra pełne wody dostarczaliby pracownicy FBI, sprawdzając, czy jest w nich woda, czy – nie daj Boże – jakaś inna ciecz wlana przez rozdokazywanych terrorystów. Słowiańska tradycja oblewania wodą na pewno by się rozpowszechniła w Ameryce Północnej. Próbowałbym też zaszcześcić u nich andrzejki, u nas bardzo znane, a u nich w ogóle. Jak oni nam Halloween, to my im andrzejki, na zasadzie wymiany albo jak ktoś chce – rewanżu. Takich ogólnoswiatowych zwyczajów wtykania innym czegośkolwiek (np. narkotyków) tu nie przytaczam, bo te już wszyscy między wszystkimi upowszechniają od dawna. Amerykanie

zamieszkujący tereny na północ od Meksyku rozmaitych dopalaczy i dragów też specjalnie do siebie nie dopuszczają. Zabraniają rygorystycznie ich przywozu z innych amerykańskich ziem, położonych bardziej na południe, zatapiając kursujące w ich kierunku łodzie. Mają swoje. Tu zająłem się tylko narodowymi zwyczajami.

Największy problem Polacy mają z pisaniem nazw wielką czy małą literą. Z tym kłopoty są powszechne. Językoznawcy, wzorem prawników, tak wszystko pogmatwali, że zrobił się bajzel. Rozstrzygać oczywiście mogą tylko oni. Podam przykłady z różnych portali internetowych. Pierwszy z Cieszyna (pisownia oryginalna):

Klasztor Elżbietanek;
Klasztor i kościół sióstr elżbietanek;
Klasztor i kościół ss. Elżbietanek;
Klasztor i szpital s.s. Elżbietanek;
Klasztor Sióstr Elżbietanek;
Klasztor i szpital Sióstr Elżbietanek;
Klasztor i szpital Elżbietanek;
Klasztor i szpital elżbietanek;
Zespół klasztorny Elżbietanek;
Zespół klasztorny elżbietanek;
Zespół Klasztorno-Szpitalny św. Elżbiety.

Drugi przykład z Pławniowic. Tu z kolei na kilku stronach nazwa jest pisana raz wielką, a raz małą literą:

Zespół Pałacowo-Parkowy w Pławniowicach;
Zespół pałacowo-parkowy w Pławniowicach.

Przez moje życie przewinęło się wiele osób. Niektóre wspominam z przyjemnością, o innych, chociaż to trudne, wolałbym zapomnieć. Teraz będzie o Szczepanie Hupce. Poznaliśmy się pod koniec lat sześćdziesiątych w Toszku. Starszy o 14 lat, niewysoki, szczupły, pracował w szpitalu psychiatrycznym. Zajmował się m.in. wykonywaniem różnych zdjęć w pracowni rentgenowskiej. Mieszkał w Strzelcach Opolskich. Bywał u nas często na zamku. Był zawsze uśmiechnięty, żartowaliśmy sporo, dobry kumpel. W szpitalu wraz z innymi kolegami tworzyliśmy pakę złożoną z kilkunastu chłopaków grających siatkówkę na sali gimnastycznej. Była udostępniana mieszkańcom Toszka. Jeździliśmy też do Gliwic na jakieś turnieje, po których dostawaliśmy znakomite wyroby z zakładów mięsnych (niezwykłej urody parówki, nie tylko z wyglądu, ale również w smaku – to były czasy). Tak nam upływało spokojne życie, aż w 1973 roku, w związku z kłopotami Marysi, mojej drugiej połówki, wtedy kierowniczki zamku, postanowiliśmy wyprowadzić się do Strzelec Opolskich. Szczepan zgodził się nam udostępnić pokój w bloku przy ulicy Adama Asnyka. Rozwiódł się już kilka lat temu, a żona wyjechała. To było M4. Oprócz Marysi był jeszcze Bob (bokser pręgowany). Największym moim utrapieniem (i chyba też Boba) w nowym mieszkaniu był fatalny nałóg Marysi i Szczepana (palenie papierosów). Można sobie wyobrazić powietrze w domu. Razem z Bobem byliśmy biernymi palaczami. Przez większą część 1974 roku jeździliśmy na wykopaliska do Dobrzonia Małego. Szczepan bardzo się nam przydał, ponieważ po przyjeździe z pracy wyprowadzał psa. W pobliżu mieszkali znajomi, Ula z Bronkiem i mieszkańcem, sunią Belą. Psy też się zaprzyjaźniły. Spacerom w parku i na zielonych nieużytkach nie było końca. To był dobry okres mojego życia. We wrześniu po otrzymaniu własnego, spółdzielczego M4 w Katowicach, przeprowadziliśmy się. Szczepciu oczywiście został w Strzelcach Opolskich. Po pewnym czasie ożenił się drugi raz, dorobił się córeczki. Bywałem tam od czasu do czasu.

Na początku lat osiemdziesiątych miałem dosyć dobrze płatne zlecenie. Dla konserwatora wojewódzkiego robiłem karty adresowe, które trzeba było uzupełnić zdjęciami. Braki filmów w tym czasie spowodowały, że zaproponowałem współpracę Szczepanowi. On fotografuje, ja opisuję, a Marysia wszystko zbiera, sprawdza i spina. Obeszliśmy wiele miast. Przy końcu, nie pamiętam już, z jakiego powodu, nie mógł przyjeżdżać, więc chodziłem sam. Długo mógłbym pisać o naszej znajomości. Wspomnę jeszcze tylko, że podczas jednego z przyjazdów, a było to już w kolejnym naszym mieszkaniu na osiedlu (w tym czasie im. 35-lecia) w Brynowie, wpadł do nas gdzieś na przelomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Na progu już rzekł: „no to Marysiu, sztachniemy se”. Ja im wtedy palnąłem dłuższą gadkę, prognozując, że oboje marnie skończą. W 1993 roku, kiedy wróciłem z podróży do Włoch, dowiedziałem się, że zmarł na raka płuc w wieku 62 lat. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Strzelcach Opolskich. Pojechałem zapalić znicz i trochę mu nagadać. Ostrzegalem nadal Marysię, ale ona też nie mogła z nałogu wyjść i zmarła w wieku 64 lat. Za tę przyjemność zapłacili oboje najwyższą cenę, bo znacznie skrócone życie. Czy warto było?

Jest poranek 8 grudnia 2025 roku. Włączyłem komputer. W Google pokazuje się nagłówek: „Koniec ery Atlasa. Nowa strategia USA to wstrząs dla gospodarki UE”. „Kameleony” amerykańskie wkroczyły do akcji z wielkim tupetem. Twierdzą, że już nie będą roztaczać nad Europą parasola ochronnego. Nie mogą oczywiście, ponieważ w ostatnim czasie przenoszą go na Rosję. A dwóch parasoli, jak widać po ostatnich rozgrywkach politycznych, trzymać się nie da. Bąkają coś o zrywaniu z dotychczasowym „żandarmowaniem świata”. To moim zdaniem całkowicie niemożliwe. Weszło im to w XX wieku tak mocno w krew, że nie sposób się tego pozbyć. Chrząknęli coś o sobie jako o „Atlasie porządku światowego”. Niby że nie chcą już nim być. Graczy na scenie światowej przybywa, konkurencja do pierwszeństwa większa, trzeba więc lawirować, jak tylko się da. Tracą grunt pod nogami. Lawina komentarzy odnoszących się do tej decyzji USA ruszy. Nie dobrnąłem do końca artykułu, bo brzydzę się polityką. Jest mi obca, to paskudna rzecz, pełna hipokryzji. Jest w niej miejsce głównie dla cwaniaków, kombinatorów, kłamców itp.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump jest jak owocowe drzewo, ponieważ każde jego spotkanie jest owocne. W każdym razie zawsze zapewnia, że było nie tylko fantastyczne, a przede wszystkim bardzo owocne. Niekiedy nie wiadomo, czy to spotkanie zaowocowało, czy sam Trump. I nieważne, czy „owoce” spadały po spotkaniach z Władimirem Putinem, czy z Wołodymyrem Zełenskim, czy z kimkolwiek innym. Kto kogo zapytał, żeby zakończyć ten skomplikowany proces chemiczny, nie dochodzę. Efekty wszyscy widzą po opadłych owocach. I nie chodzi mi o ich liczbę. Wiele z nich popsuło się z powodu doprawiania różnymi dodatkami. Jednak ciągle spadają nowe, jeszcze lepiej przyrządzone, prawdopodobnie tylko po to, aby zgnieć.

Kiedyś mówiono jednym językiem – i co? Ludzie zaczęli wznosić jakąś budowlę, aby sięgnąć nieba. Czy to nie był głupi pomysł? Za pychę i próbę dorównania Panu Bogu Bóg ludzi ukarał. Najzwyczajniej pomieszał im języki. Od tamtego czasu – dokładnie nie wiem, kiedy to się stało – języków namnożyło się na potęgę (ach, jak ja to słowo lubię, gdy tylko w sieci widzę „na potęgę”, zaraz klikam, taka ciekawość mnie zżera). A więc języków, jak obliczyli uczeni, jest teraz ponad siedem tysięcy. Prawdopodobnie było ich więcej. Czas leciał, a ludzie nie mogli przestać knuć przeciw Panu Bogu. Coś im się już od początku nie podobało i nadal rozrabiają. Tacy jesteśmy. Knujemy od zarania nie tylko przeciw samym sobie, ale także przeciw Panu Bogu. Raz już ludzi ukarał, a może gdyby dokładniej poszperać, więcej razy – i jeszcze im mało. Niszczą języki wytrwale i planują według AI „wykurzyć” około 30%

do końca tego stulecia, według niektórych do 90%. Jeden jednak się nie daje, panoszy ponad miarę. Kiedy ta plaga się zaczęła? Nie dochodzę. Rozeszła się po całym świecie i tego prawie nikt nie może negować. Język angielski wypiera prawie wszystko. Od pewnego czasu wziął się też za język polski. Angielszczyzną pachnie wszystko, choć nie wiem, czy słowo „pachnie” jest tu odpowiednie. Nie będę się narażał innymi słowami. Gdzie się nie ruszysz – angielski. Czasami nie wiadomo, jak się odzywać: po angielsku czy po polsku. Szyldy, napisy, książki, cała sieć globalna została przez niego zawłaszczona. Gdzieś jakby zanikł patriotyzm językowy. Językoznawcy się nie odzywają, bo co mają, biedni, robić. Coś tam czasami burkną i tyle. Teraz panoszy się język programowania. Na nim się nie znam. Ale gdy zajrzałem na kilka stron internetowych, na jednej z nich dotyczącej języka programowania, przeczytałem w komentarzach: „Język programowania jest zbiorem reguł jakie należy przestrzegać aby napisać program”. Jak ma być zbiorem, to niech już takim zostanie.

Mozolnie przygotowywano Polaków do wchłonięcia nieprzebranych ilości witamin i minerałów. Ktoś tę akcję musiał zacząć. No kto? Wiadomo. Zawiało z Zachodu, w tym również zza Atlantyku. Suplementy zapełniły wszystkie apteki i sklepy internetowe, które dwoją się i troją, by nadażyć ze sprzedażą, a znani, globalni producenci pracują na pełnych obrotach. Wszystko to jest odpowiednio przyprawione medialnie. A że dla ludzi najważniejszy jest smak, to smakują ile wlezie. Niekiedy narzekają, że piguły za duże albo że pakują do nich dziwne dodatki. W gruncie rzeczy jednak im to nie przeszkadza i interes kwitnie. Nie pamiętam, kiedy to się tak na dobre zaczęło. W PRL-u nie przywiązywano zbyt dużej wagi do tego typu supli. To, co znajdowało się w naturalnej żywności, w zupełności wystarczało.

Wprawdzie prof. Julian Aleksandrowicz w latach 80. namawiał do łykania tabletek dolomitowych, ale w nielicznych wtedy gazetach, telewizji czy radiu poparcie dla tego pomysłu było nikłe. Media nie były jeszcze „zajechane” reklamami, a bez nich – ani rusz. Obowiązywały też wtedy kartki ograniczające dostęp do niektórych „szkodliwych” produktów, np. cukru, choć wówczas takiej łatki mu nie przypinano.

Za to więc między wsią a miastem była mocna. Jeśli tylko można było dostarczyć rodzinie brakujące produkty, to je podrzucano. Ich niewątpliwy atut stanowił brak jakichkolwiek składników niepożądanych. Owszem, było czym zakąsać. Rolnicy również starali się uzupełniać rynkowe braki – i to w najczystszej postaci (bimbrem). Tak dociągnąłem do lat 90., w których nastąpiły poważne zmiany. Powoli rozkręcał się przemysł farmaceutyczny, który w nadchodzącym stuleciu wzniosł się na szczyty swoich możliwości wytwórczych. Jego ekspansja przeszła wszelkie wyobrażenia. Efekt jest taki, że te niby-dodatki zdrowotne często pomagają jak umarłemu kadzidło. Ale tonący, jak wiadomo, brzytwy się chwyta.

Dlaczego nastąpiła tak niebywała polaryzacja poglądów na niemal wszystkie sprawy związane z życiem człowieka – i to na całym świecie. Moim zdaniem myśl ludzka jakby zerwała się z łańcucha. A że ludzi przybywało, więc myśli też. Niby co dwie głowy, to nie jedna. A tym bardziej trzy miliardy jeszcze 60 lat temu i ponad 8 miliardów obecnie. Mózgi się rozrastały, ewolucja kroczyła powoli, ale jednak do tzw. przodu (choć tu miałbym zastrzeżenia) i myśl już przestała się w nich mieścić. Wydostała się i poraziła wszystkich. Czy przeniknęła, czy rozerwała czaszki, przynajmniej niektórym – to bez znaczenia. Wydostała się poza dotychczasowe granice, ramy. Nikt już prawie nad niczym nie panuje. Dzieli się wszystko na drobne cząsteczki tak, że komunikacja międzyludzka staje się niemożliwa. Zapewne siłą napędową nakazującą określony kierunek był i pozostaje pieniądź.

W pierwszy dzień świąt bożonarodzeniowych wybrałem się na spacer po centrum Katowic. Spokojnie, nie ma ludzi, samochodów też niewiele. Poszedłem trasą ptaków (gołębi,

kawek, wróbelków i wron siwych). Wziąłem do torby sporo pszenicy, a do kieszeni fistaszki w osłonkach i bez. Siedziały gromadami na drzewach lub dachach. Zlatywały się do mnie natchmiast. Rozsypywałem ziarna w różne miejsca, żeby nie robiły sobie krzywdy, rozpychając się w jednym miejscu. Były bardzo głodne. Żeby przeżyć, muszą jeść. W centrach miast ktoś im musi jedzeniem (najlepiej ziarnami) sypnąć. Asfaltem, płytkami i betonem się nie najedzą. Siedzący na ławkach ludzie i karmiący ptaki fast foodami (sami się też nimi opychają) wyrządzają im krzywdę. Nie brakuje wciąż, zwłaszcza zimą, podrzucających ptakom chleb. Przeciwników karmienia gołębi w mieście, jest niemało. Czasami wchodzimy sobie w paradę. Wściekli rzucają mięsem na te moje, zabronione przez nich, czyny. Lubię przyrodę, a ptaki szczególnie. Pomagam im od kilkudziesięciu lat.



Wrony siwe w parku

Ciągle coś nowego wpada mi w oko, czasami w ucho. Akurat wysłuchałem wariacji na temat Mozarta. To wariacje B-dur op. 2 na temat *Là ci darem la mano* z opery *Don Giovanni* Mozarta. Piękny utwór Fryderyka Chopina. Muzykom wystarczy podać temat, a oni już tworzą oparte na nim wariacje. Tak ich roznosi. Tyle mają do przekazania. Jak widać Chopina też poniosło. I bardzo dobrze, bo powstało arcydzieło. Można się nim delektować. To są jednak „wariacyjne” drobiazgi. Moją uwagę przykuwają niemal codzienne inne wariacje. Mam na myśli dzisiejsze globalne wariacje – i to na wszystkie istniejące tematy. Czy ktoś to jeszcze może wytrzymać? Bliskie wariacjom jest wariactwo. Brzmi podobnie. Ma jednak inne znaczenie. Według mnie konotacje są wyraźne. Zmiany we wszystkim osiągnęły poziom „wariacyjny”. Znaczna część ludzi nie radzi sobie z nimi, nie nadaża. O szczegółach tej choroby można by długo pisać i mówić, ale też język i pióro połamać. Nie na moją głowę.

Wchodzę do kuchni rano. Wstaję najczęściej między czwartą a piątą. Mam gościa albo gościnię „urzędującą” za szafkami i zlewozmywakiem za sprawą Igi. Cześć Mysza (to nie błąd,

tak mówię wbrew nawet sztucznej inteligencji, która mnie zapewnia, że poprawnie pisze się słowo „mysz” małą literą). A ja ją nazwałem Mysza, więc muszę pisać wielką literą. „Jesteś tam jeszcze? Jak ci się spało? Pojadłeś? Nie wychodź, nie wychylaj się za bardzo, bo zauważyłem, że Iga czasami siedzi koło kaloryfera, próbując cię złapać. Wie, że tam jesteś. Na dworze nie jest zbyt ciepło, tu masz lepiej. Ale czy w ogóle lepiej, to nie wiem. Jedzonka ci nie brakuje, świeżą dostawę w miarę potrzeb masz zapewnioną. Do tej pory chętnie jadłeś łuskane nasiona słonecznika i pestki dyni. Ostatnio widzę, że znikają orzechy włoskie, laskowe i ziemne”. Dolewam wody. Tym podobne codzienne rozmowy z Myszą toczą się już od czterech miesięcy.

Gwiazdy są po części podobne do słońca, które w ciągu dnia wschodzi, wspinając się do najwyższego punktu, potem opada i zachodzi. A jak jest z „ziemskimi gwiazdami”? Przechodzą podobną drogę. Pojawiają się w telewizji i innych mediach powoli albo szybko, co zależy od wielu czynników, które pominię, torując sobie drogę na szczyty popularności. Wtedy świecą jak słońce w południe, ale po pewnym czasie zaczynają szybko lub powoli obniżać swój lot, aż do całkowitego upadku. Tu między słońcem a gwiazdami zachodzi różnica. Słońce zachodzi, a gwiazdy upadają. Słońce zachodzi łagodnie i można powiedzieć, że jego zachodzenie jest bardzo przyjemne dla oka. Z naszymi gwiazdami dzieje się coś niedobrego. Nie zachodzą w tak spektakularny sposób jak słońce, lecz spadają. Upadków gwiazd jest wiele. Najogólniej można je podzielić na nagłe i przewlekłe.

Słońce ma jeszcze tę przewagę nad gwiazdami, że po zejściu, po nocy, zaczyna znowu swoją wędrówkę po nieboskłonie. Gwiazdy „ziemskie” niestety, tego nie doświadczają. Jak już opadną, znikają i ponownie nie wschodzą. Co najwyżej mówi się o nich w czasie przeszłym, jako wspomnienie. To jednak nie ma dla nich specjalnego znaczenia, bo zapadły się pod ziemię. A co pod nią jest, licho wie. To temat na oddzielne roztrząsanie.

Rodzice nie powinni swoim maluchom pozwalać na oglądanie wszystkiego w smartfonach, lecz zgadzać się wyłącznie na bajki. Na podręcznych szklanych ekranach panoszą się przekręty na miliony złotych, mordy, gwałty, rozboje, kradzieże, wszelkie patologie na okrągło. Politycy też – zamiast dawać przykład maluchom, bo to przecież nie tylko ich wyborcy w niedługim już czasie, ale również przyszłość i duma narodu – nie oszczędzają się w ubliżaniu swoim przeciwnikom. Powinni sobie dać na wstrzymanie. Nosy naszych rządzących nie mogą już być dłuższe. Tiki nerwowe wstrząsają tymi z prawa, z lewa i ze środka sceny politycznej, czasami przechodzącej w dramatyczną. Nie wyobrażam sobie za jakiś czas kłamstw pokolenia młodzieży dorastającej „na gruncie” dzisiejszych mediów internetowych. Mam jedynie nadzieję, że tylko nieliczne, biegłe nad wyraz w obsłudze wszelakich urządzeń elektronicznych, małolaty oglądają i słuchają tego, o czym donoszą online. Uszy puchną, wzrok mętnieje, smak ulega zniekształceniu, węch zaburzeniu, a głowa zawrotom. Gwoli prawdy to nie jakaś nasza specjalność, lecz ogólnoswiatowa. To wszystko wygląda na bajki. I dlatego rodzice nie sprzeciwiają się tego rodzaju rozrywce, uznając, że oni przecież na takich samych lub podobnych bajkach się wychowali.

Trafiłem w wyszukiwarce Google na *Wielką księgę cipek*. Przypadkowo, jak to często zdarza się w sieci. Tak sobie pomyślałem: a my to gorsi? Nie uciekam od tematów trudnych. Dzisiaj jest ich coraz mniej. Szukam dalej w Google: wielka księga cipków. I nic. Cipek to według mojego rozeznania oczywiście męski odpowiednik cipki. Niemożliwe. Nie ma o nich nic. Co na to AI? A ona, że „cipek” to „wulgarnie, obraźliwe określenie żeńskich zewnętrznych narządów płciowych”. Poniżej dopisek, że jej odpowiedzi „mogą zawierać błędy”. Moim zdaniem bez żadnej wątpliwości. Ona jeszcze do tych spraw niedorośla i „męskość” jej się myli z „żeńskością”. Jak dorośnie, to zmądrzeje. Nie wiadomo, co było pierwsze: cipka czy cipek.

Wadził się nie będę, bo to tak jak z jajkiem i kurą. Przyjmuję, że obie nazwy, jak i części ciała nimi nazwane, pojawiły się w jednym czasie. Według mnie cipka (ta żeńska) pochodzi od cipka (tego męskiego) – albo odwrotnie. Tak pamiętam wymawianie tych słów w mojej młodości. Nie przeszkadzało ani mnie, ani mojej wybrance, mówienie w ten sposób przy wszelkich odpowiednich okazjach. Dla nas było jasne, co jest co. Czyli powinny być *Wielka księga cipek* i *Wielka księga cipków*. Podobno jest równouprawnienie. Nieprawda. Szukam, a tu w Google wyskakuje: *Wielka księga siusiaków*. Raz cipki, a raz siusiaki. Pomieszali kompletnie. Jeśli już zajęli się siusiakami, to odpowiednikiem żeńskim powinny być np. siusiny. Brzmiałoby poprawniej. Według mnie lepsze, bardziej odpowiednie do wieku, bo przecież w książkach tych chodzi o edukowanie najmłodszych, byłyby następujące tytuły: *Wielka księga siusinek* i *Wielka księga siusiaczków*. Teraz już za późno. Nikt się ze mną nie konsultował. A to przecież takie proste. Językoznawcy też z tymi sprawami są na bakier. O siusiaczku piszą, a o siusinie nie. Zupełnie nic. Znowu ta dyskryminacja płciowa, a Unia Europejska już od tylu lat walczy, żeby jej nie było. Zadam tylko na koniec pytanie: czy edukacja w tego typu sprawach damsko-męskich jest konieczna? Bez niej rozmnażaliśmy się przez tysiąclecia i jakoś dawaliśmy sobie radę, o czym świadczy przeludniona Ziemia (ponad 8 miliardów istnień ludzkich). A zatem, jeśli z takimi problemami musimy się dzisiaj w profilaktyce zdrowia seksualnego mierzyć, to kiepsko widzę naszą przyszłość. Według ostatnich doniesień działania te są nieskuteczne, czemu się nie dziwię. Ubywa nas, a nie przybywa. Wychowanie najmłodszych jest do bani.

Świat pędzi w jakąś dziurę, która go niebawem pochłonie. Jednym z powodów tej katastrofy (może to nie będzie katastrofa, a na przykład ulga w cierpieniach dla wielu) jest zamach na szeroko rozumianą wolność. Głównym zamachowcem jest AI. Gdybym zadał jej pytanie, czy się ze mną zgadza, wylaby się w coraz bardziej pokrętnych odpowiedziach. Dlatego nie pytam i idę własnym tokiem myślenia. Wolnym to się chyba nigdy nie było. Piszę „chyba”, bo aż taki mądry nie jestem, żeby to udowodnić. Mam też kłopot w zdefiniowaniu wolności. Na mój chłopski rozum, przyglądając się temu, co się dzisiaj dzieje, mogę stwierdzić, że wolności jest coraz mniej i w miarę rozpychania się sztucznej inteligencji, dojdzie dosyć szybko do całkowitego zaniku tej wartości. Świadomość takiego trendu u ludzi jest mała, i nie będzie wzrastać, lecz maleć, właśnie z powodu, o którym wspomniałem. Ludzie już nie postępują zgodnie ze swoją wolą, lecz poddają się tej narzucanej stopniowo przez AI – pomimo tego, że zastrzega ona, że nikogo do niczego nie przymusza. Są jednak od dawna znane metody oddziaływania jednych na drugich pod tzw. zawołowanym przymusem. Sztuczna inteligencja doskonale wie, bo to żadna tajemnica, że ludzi głupich jest zamieniona większość, także wśród rządzących, dlatego przede wszystkim na nich zarzuca swoje sieci z małymi oczkami, przez które nie będzie można się już wydostać. Na razie tyle, krótko, bo to żaden traktat filozoficzny, tylko zwykłe gadu-gadu.

Chcieliście kapitalizmu to macie. Z całym jego bogactwem (dla wybranych) i biedą (dla reszty).

Korupcja na całym świecie. Zewsząd napływają informacje o dzieleniu się forszą na wszelkie możliwe sposoby. Krótko: jest kasa do wzięcia. Na stole czy pod stołem, to bez różnicy. Wyrывают pieniądze nie tylko z zasobów państwowych, ale również na przykład z unijnych. W końcu gdy wszyscy zrzucają się do wspólnego wora, to również wszyscy muszą go opróżniać. Zaufani, współpracownicy wpadają jedni za drugimi, a to jedynie część ze światowej pandemii. Bo to tylko można do takich „rozszerzeń” przyrównać. Demokracja, totalitaryzm, autorytaryzm. Jakiegokolwiek nie byłyby to ustroje, nic sobie z tego nie robią, nie przejmują się zanadto. Tylko kasa – to jest to. Mają potrzeby: pałace, biznesy i inne niewyobrażalne dobra,

bez których życie dla nich nie ma sensu. Ciągłe im mało. Nienasyceń. A maluczcy przyglądają się, złorzeczą, co ci na górze wyprawiają. Jak oni mogą, to i my. I jadą z tym koksem na szczyblach lokalnych. Tam jest ciszej, bo ani ta forsa, ani głowy nie te same. Na górze głośno, a na dole cicho. Akurat skończyłem pisać, a tu w sieci afera korupcyjna w Brukseli.

Wracam na chwilę do diety zwanej optymalną. Na stronie 89 książki tak zatytułowanej przeczytałem o czymś, z czym nie mogę się zgodzić. Dr Jan Kwaśniewski stwierdza mianowicie, że gdy ktoś już się według jego zaleceń odżywia, to po pewnym czasie nie będzie miał ochoty na takie produkty, jak słodczy, chleb itp. Muszę przyznać, że po upływie 27 lat tłustego i niskowęglowodanowego jedzenia z chęcią bym wtrądził kawał ciasta, polizał lody i napił się napoju podrasowanego cukrem. Świadom ewentualnych zagrożeń przyzwyczailem się i nie robię tego. Wcale z tego powodu nie cierpię katuszy. Braki słodkich smakowitości zastępuję czekoladami zawierającymi minimum 85% kakao, czasami 90%, 95% i nawet 100%, ale wtedy z dodatkiem suszonego owocu, a także samym proszkiem kakaowym mieszanym z jogurtem typu greckiego bądź śmietaną dwunastoprocentową, pilnując aby nie przekroczyć narzuconej sobie codziennej dawki węglowodanów. Podobną chęć mam na inne produkty, np. sól. Dodaję ją w rozsądnych ilościach, ponieważ lubię, i również w tym przypadku nie potwierdzam przekonania Kwaśniewskiego, że ona po jakimś czasie optymalnego żywienia nie smakuje. Smak to kwestia indywidualna. Koty np. też przebiegają w pokarmach smaczniejszych, nie tykając tych, które im nie smakują. Takie stanowcze sądy nie podobały mi się – stanowiły swoisty zgrzyt wśród innych, skądinąd interesujących wywodów, które zdaniem lekarzy medycyny konwencjonalnej były bardzo kontrowersyjne, w większości albo w całości odrzucone, nie akceptowane, bo niezgodne z ich poglądami.

Na podstawie rozlicznych tabel i zestawień wyników naszej reprezentacji w piłce nożnej, ograniczając się do XXI wieku, wynotowałem kilka kwestii. Najwyższa wygrana w 2009 roku z San Marino (nadmienię tylko, że zamieszkuje je trzydzieści kilka tysięcy osób). Za to z Hiszpanią w 2010 roku przegrali 0:6. Chwalą się najdłuższą serią zwycięstw w 2005 roku z Albanią, Azerbejdżanem, Serbią, Izraelem, Austrią, Walią i Islandią (nie piszą tylko, z której one półki). W XXI wieku drużyna narodowa ani razu nie zakwalifikowała się na igrzyska olimpijskie.

Na mistrzostwach świata zajmowała miejsce 25 na 32 zespoły (2002 rok), 21 na 32 zespoły (2006 rok), 25 na 32 zespoły (2018 rok) i 15 na 32 zespoły (2022 rok). W latach 2010 i 2014 nie zakwalifikowała się na te najważniejsze zawody..

Podczas mistrzostw Europy nie było lepiej. Tylko raz udało jej się zakwalifikować do ćwierćfinału, dzięki czemu zajęła 7. miejsce. W pozostałych kończyła udział w fazie grupowej. Spieszę dodać, że te mistrzostwa kiedyś znaczyły więcej niż dziś. Teraz poziom piłki nożnej na świecie się wyrównał, więc turnieje europejskie utraciły w znacznej mierze swoją rangę.

Liga Narodów to podrzędne rozgrywki i o nich nie wspominam. W nich zawsze częściej nasza reprezentacja przegrywała, niż wygrywała, więc o czym tu mówić. Co ciekawe, największe sukcesy odnosiła w czasach PRL-u, kiedy piłkarze nie byli tak dobrze opłacani jak teraz ani nie pławili się, można powiedzieć, w luksusach, a grali wyśmienicie, ku zadowoleniu rodaków. Jak widać, pieniądze to nie wszystko. Nie są gwarancją sukcesu również w sporcie. Rozdrabniał się nie będę.

Trochę o ziołach stosowanych przeze mnie do picia, okładów, masażu i kąpieli. Większość z nas zapewne popija je codziennie, bądź rzadziej – miętę, rumianek, pokrzywę i wiele innych – w postaci naparów. Nie kupowałem nigdy saszetek. Parzyłem przez 15 minut i w zależności od zaleceń piłem o odpowiedniej porze dnia. Bardziej „zaawansowane” jest picie odpowiednich

mieszanek w dłuższym czasie. Są to kuracje trwające na ogół miesiąc lub dłużej. Stosowałem je wielokrotnie głównie po pobytach u księdza Zygmunta Kilijanka w Zelowie i Częstochowie. Nie będę tu podawał składu mieszanek, które były przecież wybrane wyłącznie dla mnie. I te do picia, i do kąpeli. Każdy skład był odmienny. Wśród około 20 ziół wyróżniała się pokrzywa (3 opakowania w zestawie). To chyba najcenniejsze z naszych ziół. Łyżkę mieszanki zalewałem szklanką wrzątku, parzyłem przez 15 minut pod przykryciem i piłem 3 razy dziennie: na czczo, przed obiadem i po kolacji. Codzienne kąpiele trwały około 15 minut przez 20 dni. 1/10 mieszanki ziół gotowałem w 5 litrach wody przez 10 minut. Po odcedzeniu uzupełniałem potrzebną do kąpeli ilość wody. W przypadku osłabienia miałem wchodzić do wanny co drugi dzień. Na początku części 14 cyklu „O różnościach” wspomniałem o nacieraniu ciała. Wymieniłem tylko 2 składniki. Podaję teraz cały zestaw: ½ litra octu (spirytusowy 10%), ¼ litra spirytusu (rektyfikowany 95%), 5 dkg gorczycy czarnej i łyżka soli (o ile pamiętam to była kamienna). Wszystkie te składniki zmieszałem i obmywałem całe ciało. Zapiisałem sobie wówczas następujące wskazówki: mieszankę należy przygotować na 12 godzin przed użyciem, a ciało zmywać najlepiej przed snem. Według mojego ówczesnego rozeznania masaże pomagały na układ nerwowy. Dołożę jeszcze składniki kompresu na oczy: rumianek, świetlik, nostrzyk i chaber. Łyżkę stołową mieszanki zaparzałem w ½ szklanki. Kurację uzupełniały soki z buraków, marchwi, selera, jabłek i czarnej porzeczki. Ksiądz dał mi też przepis na picie siemienia lnianego. Trzeba było łyżkę stołową zalać w szklance wrzątkiem i po wystygnięciu wypijać całą zawartość. Ja jednak robiłem inaczej. Do wrzącej w kubku wody wsypywałem łyżkę siemienia lnianego. Odczekiwałem kilkanaście sekund, podkładałem płytkę i na odpowiednim gazie siemię powoli unosiło się na powierzchnię. Pilnowałem – co było najważniejsze – aby, mieszając od czasu do czasu łyżeczką, uzyskać śluzowatą konsystencję, którą sprawdzałem poprzez pocieranie łyżeczki palcem. Jeśli uznałem, że wystarczy, wyłączałem gaz i piłem na raty samą zawiesinę, bez ziaren. Doszedłem w tym do wprawy i do dzisiaj w miarę potrzeby tak postępuję. Które zioła i ich mieszanki są przeznaczone na leczenie lub wspomaganie leczenia określonych chorób można dowiedzieć się z licznych publikacji drukowanych i internetowych. Jedną z popularniejszych jest książka zatytułowana *Wróćmy do ziół* autorstwa polskiego franciszkanina o. Andrzeja Czesława Klimuszki. Korzystałem z zamieszczonych w niej przepisów w ostatnich latach.

Napisał zimą 2026 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2026 by Eugeniusz Tomczak